
4YA
LAS
KOŚCI
I DUSZ
LISA LUEDDECKE

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl



LISA LUEDDECKE

Przełożył Krzysztof Obłucki

4YA

Dla Toma i Atlasa, którzy są dla mnie wszystkim.
I oczywiście dla moich dziadków Szilvásich.

Tytuł oryginału: *The Forest of Ghosts and Bones*
Redaktor prowadzący: Maria Mazurowska
Redakcja: Katarzyna Sarna
Korekta: Beata Wójcik
Ilustracja na okładce: Natalia Starkiewicz
Projekt okładki: Kamil Pruszyński
Opracowanie graficzne i skład: Magdalena Jackowska

First published in UK by Scholastic Ltd, 2020
Text © Lisa Lueddecke, 2020
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2021

All rights reserved

Wydanie I
ISBN 978-83-8154-953-0

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. Z o.o.
0-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
Tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl



Zdecydowałam się na pewną dowolność, jeśli chodzi o wymowę głosek w świecie *Lasu kości i dusz*.

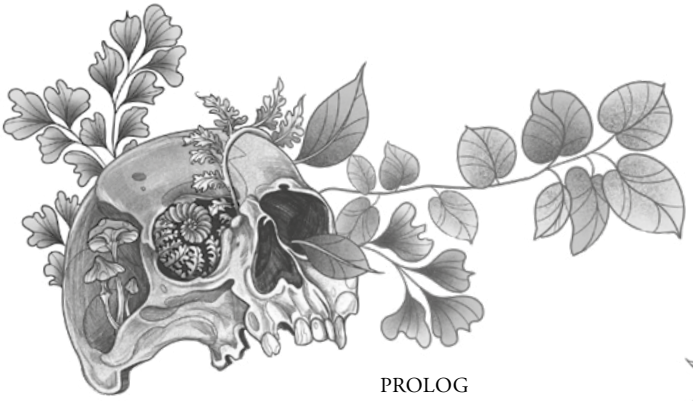
Krótki przewodnik:

zs – to **ż** jak w słowie „życie”
sz – to **s** jak w słowie „smutek”
ş – to **sz** jak w słowie „szopa”
ţ – to **ts** jak w słowie „tsunami”
cs – to **cz** jak w słowie „czas”
ž – to **ż** jak w słowie „życie”
žs – to **sz** jak w słowie „szopa”
č – to **cz** jak w słowie „czas”

Benedek Csekeny – BE-ne-dek cze-k-EN-ij
Liljana Vahani – Li-LIA-na wa-HAN-ij
Béata Rovedosi – Bej-A-ta ro-we-DOS-ij
Marcosza – mar-KO-sa
Zírany – zijr-AN-ij
Dungléd – DAN-glejd
Izsak – Ij-zaak
Miha – MIJ-ha
Dom Szalirich – Dom Sa-LijR-jich
Roşesti – Roo-SZEST-ij
Tăru – ta-RU
Miloš – MI-losz
Morós – mor-OSS (rymuje się z „kolos")
Zalya – ZAL-ja
Tabíta – tab-IJ-ta
Sóar – so-AR
Iulia – JU-li-a
Morţa – MORT-sa
Senža – SEN-ża
Csáno – CZAIN-o
Sovažska – so-WAŻ-ka
Savenče – sa-WENCZ-ij
Anastadt – ANN-a-stot
Przełęcz Wöernz – WOORNZ
Vyesta – vij-EST-a
Alíz – a-LIJZ

Piekło jest puste,
bo wszystkie diabły
są tutaj.

William Szekspir, *Burza*



PROLOG

BÉATA

Mama mówiła, że śmiercionośny deszcz padający nad zamkiem to szloch po upadłej królewskiej parze. Nigdy nie słabł, bo ta żałość nie miała końca. „Trzymaj się z dala od pałacu" – powiedziała mama. „Nie pozwól, żeby magia cię przyciągnęła. Nie podchodź na tyle blisko, by ją kusić. Jesteś teraz za młoda, ale kiedyś zrozumiesz dlaczego". Jej słowa sprawiły, że w izbie oświetlonej świecami, gdzie cienie tańczyły na ścianach, zrobiło się lodowato. Ta przestroga brzmiała niczym oddech przy moim uchu, aż włoski stawały mi dęba na karku.

Przez jakiś czas zastanawiałam się nad słowami mamy i przeszywał mnie dreszcz grozy, kiedy ludzie wspominali o zamku. To sprawiało, że nie oddalałam się zbytnio od domu. Jednak w miarę upływu dni, kiedy jedna pora

roku nastawała po drugiej, a śnieg i wiatry ustępowały miejsca wiosennemu ciepłu, mój strach malał. Kiedy snuto jesienią opowieści przy kominku, nie przestawałam się zastanawiać, czy historie o zamku i zabójczym deszczu nie były zmyślone jedynie po to, by powstrzymać niesforne dzieciaki przed łażeniem po pustym zamku i zagubieniem się w jego korytarzach o wysokich sklepieniach. „Nie wolno wam wejść w deszcz" – powtarzali dorośli. „Ani wam, ani nam, ani nikomu, bo już pojedyncza kropla zamkowego deszczu na skórze wystarczy, żeby pozbawić życia".

Pewnego ciepłego, pogodnego wieczoru, kiedy zbliżał się już zmierzch i zrobiłam wszystko, co do mnie należało, a w tawernie panował zbyt duży ruch, by mama i tata zauważyli moją nieobecność, stopy same poniosły mnie po ścieżce przez las w kierunku zamku. Miałam jedenaście lat. To wystarczało, żeby zignorować tamte ostrzeżenia – już dawno przestałam być dzieckiem i urosłam na tyle, by uważać się za osobę dorosłą. Przy tym wabiąca magia przeklętego zamku stała się zbyt silna, dlatego ostatecznie jej uległam.

Podążałam ścieżką obok rwącej rzeki, ostrożnie stawiając kroki. Niczym dziecko bawiące się w chowanego szukałam spojrzeniem ciekawskich oczu, które mogłyby mnie obserwować. Ale widziałam jedynie rozległy, milczący las. Wkrótce dostrzegłam bryłę potężnego, złowrogiego Zamku Vyesta. Czerwonawoszare kamienie ufortyfikowanej wieży wznosiły się nade mną i bodły niebo z niewielkiego wzniesienia, na którym zamek był ulokowany. Szczeliny łucznicze gapiły się na mnie niczym wąskie oczy kota,

wzywające mnie, bym podeszła bliżej. Wydawały się połyskiwać czerwienią, a ja miałam wrażenie, jakby wszystkie zasłyszane opowieści o zamku stały się czymś rzeczywistym. Zadrżałam i odeszłam o krok od niewielkiej rzeki, która wiła się wokół murów i znikała w wielkim lesie.

Stare jak świat drzewa porastały grunt, ich sękate gałęzie pięły się do góry pod dziwnymi kątami, wyglądały jak połamane kończyny. Tu i tam po drugiej stronie rzeki opływającej zamkowe wzgórze – której pewna część odbijała od głównego nurtu i płynęła na wprost przez zamek – na ziemi leżały kości wybielone przez trujący deszcz, a w kilku miejscach widać było też trupy z resztkami ciała. Wiedziałam, że nie powinnam na to patrzeć, by oszczędzić sobie koszmarów, które bez wątpienia miały mnie nękać we śnie dziś w nocy, a mimo to nie odrywałam wzroku. Nigdy nie widziałam śmierci tak wyraźnej i prawdziwej. Te ciała były kiedyś ludźmi – takimi jak ja. Przesunęłam dłoń wzdłuż ramienia i wyobraziłam sobie kości ukryte pod skórą, podobne do tych zaścielających trawę.

Atmosfera wrogości gęstniała w powietrzu. „To tylko deszcz" – pomyślałam, wpatrując się w krople tworzące mur wokół zamkowego terenu. To wyglądało na deszcz. Pachniało jak deszcz. Tworzyło mgłę nad ziemią, jak zawsze bywa w czasie letnich ulew.

A jednak nie był to zwykły deszcz.

Jakiemuś złu przepełniającemu każdą kropelkę udawało się zabić wszystkich leżących na zamkowych gruntach.

Głos mamy, rozbrzmiewający gdzieś w zakamarkach mojej głowy, nakazywał mi surowo powrót do domu, ale

ja parłam naprzód. Nie tak dawno temu w tawernie słyszałam chłopaka mówiącego siostrze szeptem, że niektórym ludziom udawało się przeżyć, że istniała garstka odpornych, którzy mogli wejść w zabójczy deszcz i żyć dalej, by o tym opowiadać. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by utrzymywał, że mu się to udało, ale bardzo chciałam, by to była prawda. Marzyłam, żeby w jakiś sposób można było wejść do zamku.

– Tato mówił, że to są anioły – wyszeptał chłopak. – Mama z kolei uważa, że to demony.

„Wracaj do domu" – podpowiadało mi serce. – „Wracaj do domu".

Nagle jakby niewidzialna lina została zrzucona z zamku, a nogi same mnie poniosły. „Dom jest w drugą stronę" – pomyślałam, ale w tamtej chwili byłam bezsilna.

Powoli, ale zdecydowanie stawiałam kroki, kiedy szłam przez most, aż dotarłam do zamkowych gruntów i śmiercionośnego deszczu.

Kropelki całowały mi skórę, równie łagodnie jak w czasie krótkotrwałej burzy w letni dzień. Gdzie był ból? Gdzie była śmierć? Czekałam i czekałam, a potem wygładziłam białą sukienkę drżącymi rękami. Podeszłam bliżej do jednego z trupów leżących na trawie. Ręce miał czerwone, ciało odłaziło od kości, ostry smród unosił się nad nim mimo ulewy.

– Współczuję ci śmierci – powiedziałam cicho, bo mówienie wydało mi się sposobem na stłumienie strachu, który mnie zżerał. – Nie zasługujesz na to, żeby tak tu leżeć. – Kimkolwiek był ten mężczyzna, należał mu się jakiś obrządek.

Grób. Miejsce, które jego rodzina mogłaby odwiedzać. Ale byłam tylko dziewczynką snującą się po morderczym zamku, zbyt słabą, żeby samodzielnie unieść ciało. – Może któregoś dnia urządzę ci odpowiedni pochówek.

Zamek patrzył na mnie gniewnie, coś w powietrzu wokół mnie szeptało słowa niezadowolenia z powodu mojego najścia.

– Dowiem się, co tu się stało, zobaczysz – powiedziałam szeptem, wpatrując się w dwie wąskie szczeliny łucznicze. – A kiedy to się stanie, nie będzie ci się to podobało.

Spojrzałam za siebie, gdzie czekał na mnie las. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Nikt tu nie przychodził, jeśli naprawdę nie musiał. Oprócz tych, których rozpierała brawura i uważali, że dadzą radę tu wejść i ocalić nas wszystkich, albo dali się omotać zabójczej pokusie, kiedy zapadła noc. Droga biegnąca blisko zamku już dawno temu została porzucona, choć umożliwiała wędrowcom odejście daleko między pola i ominięcie tego przeklętego miejsca.

Deszcz mnie nie zabił. Nie wiem, dlaczego, ani też co to oznaczało. Wokół siebie miałam trupy tych, którzy umarli tu przede mną, tych, których deszcz zamordował z powodów najwyraźniej nikomu nieznanych.

Ale ja żyłam.

W głowie mi pulsowało, a serce waliło jak młotem na myśl o okropnych konsekwencjach, ale uznałam, że na martwienie się będę miała później całe dni. Tak więc zupełnie wolna i odseparowana od świata uniosłam ramiona do góry i powoli obracałam się w miejscu. Krople ulewy opadały mi na twarz, łaskotały w kark, przemaczały sukienkę.

Obracałam się i obracałam, rozpalona świadomością, że okazałam nieposłuszeństwo, bo wiedziałam, że nie powinnam tu w ogóle przychodzić. Ale dzień był ciepły i duszny, powietrze niemal za gęste, by nim oddychać. Cudowny chłód deszczu na mojej skórze był równie mile widziany jak szklanka zimnej wody.

Kołysałam się i kręciłam z dłońmi uniesionymi ku niebu, woda ściekała z rąbka mojej sukienki przy każdym obrocie. Zdążyłam już złamać zasady w niepojętym stopniu. Krótka swawola w ulewie nie mogła wyrządzić żadnej większej szkody. Tak więc obracałam się – aż zaczęło mi się kręcić w głowie, potknęłam się o stos kości i upadłam na ziemię. Błoto przylgnęło do sukienki, kiedy wpatrywałam się w pobielałe szczątki, które kiedyś były człowiekiem. Zrobiło mi się niedobrze.

Właściwie po co tutaj przyszłam? Miałam wrażenie, że słyszę teraz głos mamy: „Zostałaś skażona przez deszcz. Powinien był cię zabić, a mimo to jesteś tu. Twoja krew stała się już pewnie czarna jak u diabła". W tej chwili to, że coś mnie tu przyciągnęło, jakaś niezaspokojona ciekawość, w ogóle nie miało sensu. Pamiętam, jak zeskoczyłam ze skały w głęboki odcinek rzeki. Wszystkie starsze dzieci już wcześniej to zrobiły, a ja nienawidziłam myśli, że byłam na to za mała, dlatego zebrałam się na odwagę i skoczyłam. Wrażenie spadania wywołało u mnie nudności, a droga w dół zdawała się nie mieć końca. Kiedy ostatecznie wpadłam do wody, ta okazała się twarda i zimna, zupełnie nie taka, jak sobie wyobrażałam. Popłynęłam cicho do brzegu i czmychnęłam do domu, cały czas zastanawiając się przede

wszystkim nad tym, dlaczego coś popchnęło mnie do tak impulsywnego skoku.

Teraz czułam coś podobnego. Miałam za sobą niemądry postępek i zostało mi po nim jedynie poczucie niepewności dotyczące tego, co mnie tu przywiodło.

Od strony wspaniałego łuku prowadzącego na zamkowy dziedziniec poczułam – bo chyba nie usłyszałam – głos, który mnie wołał. Coś mnie przyzywało, coś syczało. Wrażenie, że byłam zapraszana do zamku, napierało na mnie z całą mocą. Usta zaczęły mi drżeć.

Niewidzialna nić ciągnęła mnie do wejścia.

Nie. Samo zagłębienie się w deszcz, impulsywne i nierozważne, wytrąciło mnie z równowagi na resztę życia. Zamek może poczekać na inny dzień albo inną dziewczynkę.

Serce biło mi tak mocno i głośno, że zagłuszało ulewę. Wzięłam się w karby, wygładziłam sukienkę. Przyszłam tutaj, to prawda. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Nie było sensu przejmować się tym, co należało do przeszłości.

Obróciłam się i truchtem przebiegłam przez most, a każdy następny krok stawiałam szybciej od poprzedniego. Przymus pośpiechu brał nade mną górę, podobnie jak we śnie, kiedy niebezpieczeństwo deptało mi po piętach, a ja nie mogłam zmusić się do wystarczająco szybkiego biegu. „Przyśpiesz". „Przyśpiesz". „Przyśpiesz". To słowo popychało mnie naprzód, aż w końcu zaczęłam biec. Mimo zadyszki czułam, że cała się trzęsę. Palce mi drżały. Nie mogłam pokazać się w domu w takim stanie, ale nie potrafiłam teraz

o tym myśleć. Pragnęłam jedynie znaleźć się jak najdalej stąd, a potem wmówić sobie, że nigdy tu nie byłam.

Tuż przed przekroczeniem granicy wielkiego lasu nagle przystanęłam, bo miałam wrażenie, jakby czyjeś oczy wpatrywały się we mnie z bliska.

Chłopiec o ciemnych włosach i w zabłoconych butach stał na wpół ukryty za drzewem. Oczy miał szeroko otwarte, ramiona opuszczone luźno po bokach. Wpatrywał się we mnie, a ja w niego. Było jasne, że widział mnie wcześniej. Widział, jak tańczyłam w deszczu.

Strach ścisnął mi żołądek.

Mogłabym poprosić go, żeby zachował wszystko w sekrecie, ale to w jakiś sposób utwierdzało mnie jedynie w przekonaniu, że sprawa się wyda. Mogłabym mu zagrozić, ale nigdy jeszcze tego nie robiłam i nie bardzo wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Zamiast tego więc patrzyłam na niego jeszcze chwilę dłużej i wyobrażałam sobie słowa, jakich użyłabym, żeby zaprzeczyć jego opowieści, gdyby zdradził komukolwiek, co widział. Musiałabym uciec się do kłamstw i powiedzieć, że rozpowiada o mnie zmyślone historie. Mieszkańcy Zírany dobrze mnie znali. Chciałam wierzyć, że daliby wiarę moim słowom, a nie chłopca, którego widziałam pierwszy raz w życiu.

Niepokój jednak na dobre się we mnie rozgościł, sprawiał, że zacisnęłam szczęki, serce mi zamierało. Chłopak nic nie powiedział, a ja nie byłam pewna, czy chciałam, żeby się odezwał i stłumił narastającą we mnie panikę, czy żeby milczał dalej i udawał, że w ogóle nic się nie wydarzyło.

W końcu obróciłam się powoli i odeszłam starannie odmierzanymi krokami po zarośniętej chwastami ścieżce w kierunku domu, na wpół oszołomiona strachem na myśl, co może się stać, kiedy miasto pozna moją tajemnicę, na wpół drżąca z powodu nieokiełznanego podekscytowania tym, czego dokonałam.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

LILJANA

Sześć lat później

Kłamstwo nadawało powietrzu metaliczny posmak. Ktoś przybił kawałek pergaminu do pochyłego drzewa, a napisane na nim słowa trzeba było oglądać pod dziwnym kątem, co sprawiło, że musiałam odrzucić głowę do tyłu. Trzymałam się na uboczu niewielkiego tłumu, uspokajana odległością i cieniem, kiedy czytałam te słowa po raz pierwszy, drugi i trzeci.

„Ostrzegam was, magowie Roşesti. Popielnicy zbuntowali się i szukają okazji do przelania waszej krwi. Król w swej łaskawości ulitował się nad tymi, którzy szukają schronienia, i oferuje azyl w razie potrzeby.

Na rozkaz króla Costela wszyscy powiązani z magią muszą się stawić w azylu na zamku, by oddać się tam pod

jego opiekę. Na wykonanie tego polecenia wyznaczono czas do zachodu słońca trzeciego dnia, licząc od tej chwili".

Coraz liczniejszy tłum rozbrzmiewał stłumionymi rozmowami. Wyczuwało się ogólną ulgę, potwierdzaną głębokimi westchnieniami i ponurymi uśmiechami.

– To stanowczo za późno. Sam nie mam najlepszej opinii o magach, ale jeśli popielnicy nie zostaną powstrzymani, my możemy być następni.

– Założę się o wszystkie pieniądze, że król gromadzi ich dla popielników. Nikt mi nie wmówi, że jest inaczej.

Zacisnęłam pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w skórę. Jeśli mieszkańcy Roşesti czegoś się bali, to właśnie magii, a w wyniku plotek z sąsiedniego kraju, Marcoszy, mówiących o ciemnych interesach i zabójczym deszczu, magowie w Roşesti zaczęli być znajdowani nieżywi, pozbawieni krwi. Powiadano, że to właśnie krew była źródłem ich magii, a ta z kolei prowadziła do zła. Popielnicy polowali na nas, a ich mantra rozeszła się po całym kraju niczym gwałtowny pożar:

„Jeśli nie wytoczysz z nich krwi, wkrótce przeleją twoją".

Te słowa zmieniały przyjaciół we wrogów, kochanków w morderców, podejrzenia padały na rodziny i sąsiadów. Niektórzy z zabitych nie mieli nic wspólnego z magią, ale czy to miało znaczenie? Ci, którzy obwiniali magię o całe zło tego świata, woleli dmuchać na zimne, niż pozwolić ujść z życiem choćby jednemu magowi.

W dzisiejszych czasach pożytek z magii jest niewielki – a może tylko to sobie wmawiamy, żeby powstrzymać się przed sięganiem po nią. Wielu urodzonych z nią przeżywa

życie równie banalnie, jak wszyscy inni: pracują, zakładają rodziny, umierają w szacownym wieku. To w dawnych dniach opowieści o magii były szeroko rozpowszechnione, kiedy królowie i królowe mordowali się nawzajem, walcząc o tron, i wykorzystywali najemnych magów do pomocy… aż wyznawcy boga Popioła, znani jako popielnicy z uwagi na ich skłonność do palenia ofiar, przetoczyli się krwawo przez cały kraj i zamordowali niemal pięć tysięcy niewinnych magów. Od dawna szeptano, że bogowie Roşesti piętnowali magię, bo nadawała ludziom zbyt wiele cech podobnych do bogów – a przede wszystkim do boga Popioła, znanego z ruin, ognia i zniszczenia. Dlatego popielnicy zaczęli zabijać magów w imię własnego boga i nikt ich nie powstrzymał, bo ludzie woleli, by to bogowie byli zadowoleni, a nie banda magów.

Zupełnie pozbawieni magii popielnicy kiedyś byli jedynie garstką wyznawców, którzy pozwolili, by strach zapanował nad nimi z taką siłą, że zmienił ich w morderców. Ich brak magii okazał się jedyną rzeczą, jaką magowie mogli wykorzystać przeciwko swoim wrogom, i tak dziesięciolecia temu doszło do wojny. Magowie wystąpili przeciwko popielnikom. Zwykli ludzie przyłączali się do strony popierającej bogów i choć nie wyłonił się jednoznaczny zwycięzca, w następstwie zmagań zmniejszyła się potęga popielników, niemogących się równać z furią i mocą, jakimi dysponowali rozsierdzeni magowie.

Popielnicy jednak nadal węszyli po kraju, a kiedy reszta magów odeszła, ukryła się, żeby odpocząć i zejść z oczu podburzonym przeciwko nim zwykłym ludziom, mieli nie-

wiele do roboty, ich siły jeszcze bardziej osłabły i z wznieconego przez popielników ognia zostały jedynie żarzące się węgielki.

Niemniej ostatnio te węgielki popielników zostały ponownie rozdmuchane i zapłonęły. Niewiele było trzeba. Wystarczyło kilka ramion wskazujących we właściwym kierunku. Jeden mag posłużył się magią zupełnie nieodpowiedzialnie – był Niszczycielem, który bezmyślnie wzniecił ogień i spalił dom, zabijając wszystkich jego mieszkańców. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności i, tak czy inaczej, tragedia. Do tego garść plotek z Marcoszy. Ludzie zaczęli się bać tego, co może się wydarzyć, jeśli ciemne moce narastające w ich zamku wyleją się na nasze ziemie. Ziarno posiane po kryjomu, podlewane pogłoskami i złymi przeczuciami, wyrosło na potężne drzewo, którego korzenie strachu wrosły głęboko w ziemię. I nagle ludzi podejrzewanych o to, że byli magami, ponownie znajdywano nieżywych.

Podczas gdy popielnicy byli prawdziwym zagrożeniem dla magów, nie wierzyłam w to, by kawałek papieru przybity do drzewa miał dobroczynny skutek, jaki zapowiadał.

Nie wszyscy w kraju byli głodni krwi jak popielnicy. Wielu przeżyło życie, ignorując istnienie magii, żyli i umierali bez strachu. Ale świat pełen jest różnych ludzi. Są tacy, którzy boją się magii. Tacy, którzy chcieliby dysponować magicznymi mocami. I tacy, którzy chcieliby magię zniszczyć.

Pergamin na drzewie, na który patrzyłam, zalatywał zapachem tych, którzy zamierzali wykorzenić magię do cna. W końcu słowo „rozkaz" bywa rzadko używane, gdy istnieje wybór.

Dlaczego po tym, kiedy zmuszono mnie, bym przez całe lata żyła w udręce i ukrywała swoją magię, bała się, że każda osoba, którą mijałam na ulicy, może okazać się popielnikiem, a ze mnie do świtu zostanie jedynie popiół… Dlaczego więc akurat teraz król tak żywo zainteresował się udzieleniem pomocy ludziom podobnym do mnie?

Coś tu śmierdziało. Wyczuwałam spisek dyktowany podejrzliwością i prędzej oddałabym się na pożarcie wilkom, niż się tam zgłosiła.

Obróciłam się na pięcie i odeszłam. Przez znoszone podeszwy butów czułam nierówności kocich łbów. Podążyłam pośpiesznie alejką odchodzącą od głównego placu Tăru. Nade mną górowały budynki postawione po obu stronach ulicy, piorunowały mnie spojrzeniami, gdy ostrożnie stawiałam kroki, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, by uniknąć oczu innych ludzi. Zwykła kartka papieru wisząca na Wielkim Drzewie obdarła mnie ze skóry i odsłoniła przed innymi ukryte do tej pory wnętrze mojego ciała. Choć to niemądre, przysięgłabym, że widać było teraz magię w mojej krwi. Jej piętno dawało się wyczuć nawet z drugiej strony ulicy. Czy mężczyzna przy straganie z rybami patrzył na mnie o sekundę za długo? Czy dziewczynka uczepiona matczynej spódnicy wpatrywała się we mnie, bo wiedziała, czym jestem? Czy jeśli skręcę za rogiem, natknę się na gwardię królewską w niebieskich pelerynach, a żołnierze zaciągną mnie do azylu?

Bogowie wiedzą, że nigdy nie poszłabym tam z własnej woli.

Ostrożność zachowywałam od dzieciństwa, od kiedy zdałam sobie sprawę, że mama i tato zostali zamordowani,

bo popielnicy podejrzewali ich o magię. Może i moi rodzice byli magami. Tego nigdy się nie dowiem. Byłam niemowlęciem, kiedy dziewczyna z sąsiedztwa zabrała mnie na spacer, a w tym czasie mama i tato zostali spaleni żywcem. Szczęście mi dopisało, ale potem nie było już tak pięknie.

Dorastając, pilnowałam się, żeby przebywać z innymi dziećmi, bawić się z nimi, ocierać skórę na kolanach przy upadkach, płakać i śmiać się we właściwych momentach. Starałam się nie wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń.

Ale teraz te podejrzenia mnie dopadały, a rozzłoszczony bóg Popiół deptał mi po piętach.

Pozornie magowie nie różnią się od innych. Przez większość czasu wyglądamy tak samo, nasze głosy brzmią podobnie, zachowujemy się jak inni. Ale nie zapadamy na choroby – przynajmniej na te, które dotykają ludzi wokół nas. Jeśli nadużyjemy magii, policzki się nam zapadają, oczy trochę szarzeją i z trudem podnosimy się z łóżka. Niemniej żadne gorączki ani przeziębienia się nas nie imają. Nie miałam pojęcia, co popielnicy dostrzegli w moich rodzicach, żeby usprawiedliwić ich zamordowanie, ani czy wiedzieli, że taka sama magia rozwija się we mnie. Może poczuli iskrę w moim dotyku albo dostrzegli błysk w moich oczach noworodka. Lubię tak o tym myśleć, choć teraz, osiemnaście lat później, nie miało to już żadnego znaczenia. Ważne było to, że moja tajemnica pozostawała w ukryciu przed tymi, którzy mieli nie wiedzieć o mojej naturze. W Roşesti bardzo nienawidzono magów.

Był środek poranka, ulice Tăru zapełniali przekupnie, ludzie robiący zakupy, goście z całego Roşesti i dalszych

okolic. Kupcy prezentowali z dumą wielobarwne jedwabne szale rozwieszone na wozach. Doskonałe wina z winnic z rejonu Bacil dobrze się sprzedawały, bo pod koniec lata ten ciemny nektar koloru śliwki stał się bardzo popularny. Furmanka wyładowana suszonymi ziołami nasycała powietrze mieszaniną zapachów, które jakimś cudem jednocześnie kusiły i odpychały. Ubrania i pościel wisiały nad głowami i schły w porannym słońcu. Od czasu do czasu słychać było plusk pomyj wylewanych przez okno na ulice, gdzie odbijał się echem od kamiennych ścian.

Zwolniłam, żeby zrównać krok z otaczającymi mnie ludźmi, chłonęłam harmider życia na bazarze, zatrzymywałam się co jakiś czas, żeby obejrzeć najróżniejsze towary, a przy tym nie zwracałam najmniejszej uwagi na przekupnia, który terkotał obok mojego ucha. Wcześniej przechodziłam przez ten targ setki razy, nawet na chwilę się nie zatrzymując, ale dzisiaj przytłaczała mnie rozpaczliwa potrzeba wtopienia się w tłum. Za każdym rogiem oczami wyobraźni widziałam moje ciało zawieszone gdzieś wyżej, blade, puste, nic więcej jak tylko ponure ostrzeżenie dla takich jak ja, jeśli oczywiście wcześniej mnie nie spalą. Jak wiele osób na tym bazarze miało w żyłach tę samą magię co ja? Jak wiele innych serc przyśpieszało swój rytm ze strachu i niepewności? Ile dłoni zwijało się w pięści, by stłumić ich drżenie?

Nagle zdałam sobie sprawę, że trzymałam w rękach zestaw rzeźbionych drewnianych łyżek. Moje dłonie w ogóle nie drżały. Oczywiście powinny. Popielnicy zajmowali ziemie z szybkością pożaru, a król chciał zebrać wszystkich magów, żeby jak utrzymywał, zapewnić im opiekę.

Samo wspomnienie tych słów – kłamstw – sprawiło, że zacisnęłam szczękę.

Omiotłam powoli spojrzeniem bazar wokół mnie. Drewniane łyżki wrzuciłam z powrotem do koszyka, z którego je wyjęłam. Widziałam uśmiechy, wręczanie pieniędzy, słyszałam śmiech. Ci ludzie nie mieli powodu, by bać się o swoje życie, bo ono nie było zagrożone. Ich krew nie interesowała wyznawców mrocznego boga. Narastała we mnie pokusa, by ponownie położyć rękę na drewnianej łyżce i zmienić ją w nóż tak ostry, że samo patrzenie na niego mogłoby utoczyć krew. Chciałam dać im powód do strachu, tak jak ja musiałam się bać. Chciałam, żeby zaczęli krzyczeć, uciekać i widzieć wszystkie możliwe wersje przyszłości, które kiedyś wydawały się wspaniałe, a teraz waliły się w gruzy i przeistaczały w nicość. Chciałam, żeby naprawdę wiedzieli, co to znaczy bać się, tak jak ja się bałam.

Skoro byli tak skorzy do zadawania innym śmierci, sami powinni jej posmakować. Tylko to byłoby sprawiedliwe.

Takie myślenie dawało mi niejaką satysfakcję. Aby złagodzić potrzebę, którą czułam, wsunęłam jedną z drewnianych łyżek w rękaw, obróciłam się na pięcie i opuściłam bazar na tyle szybko, na ile się odważyłam.

Pozłacana część miasta spływała w dół od wspaniałego zamku, przez aleje usytuowane na pagórkach, które prowadziły do targu, biegły wokół niego i jeszcze trochę dalej. Kilkuminutowy spacer na południe wystarczał, żeby całkowicie opuścić Tăru i znaleźć się na obrzeżach jakiegoś zapomnianego przez bogów zrujnowanego miasta, na które nawet królewska gwardia nie chciałaby napluć.

Śmieci piętrzyły się tam w stosach na ulicach. Blade, strasznie wychudzone dzieci – tak inne od rumianolicej dzieciarni mającej się jak pączki w maśle zupełnie niedaleko stąd – patrzyły tępo przez na wpół otwarte drzwi frontowe. Ulice były tu tak wąskie, że ledwie przejechałby przez nie wóz bez ocierania kołami o ściany, przez co słońce stawało się odległym wspomnieniem.

Wiele lat wcześniej wślizgiwałam się do dobrze utrzymanych części miasta, żeby podziwiać skrzynki z kwiatami na oknach, czyste ulice, kolorowe ubrania noszone przez ludzi, którzy mogli je codziennie zmieniać i nie musieli kraść nici, żeby zacerować dziurę w pończosze. Przystawałam i wdychałam zapach świeżo upieczonego chleba wydobywający się przez otwarte okna. Jeśli wystarczająco się wysiliłam, mogłam wyobrazić sobie, jak go jem, a potem przez godzinę albo dwie miałam wrażenie pełnego brzucha. Czasami to pomagało nie czuć przez jakiś czas ssania w żołądku. Jednak przestałam to robić, gdy rzucane mi kose spojrzenia i posykiwania aż za mocno uświadamiały mi, że nie przynależałam do tamtego świata.

Kiedy byłam młodsza, obdarzona nieskończonymi pokładami nadziei, marzeń i energii, uciekałam się do magii, żeby zmienić sukienkę, sprawić, by wydawała się trochę czyściejsza, a kawałek sznurka przemieniałam w korale. Ale mój brak wyszkolenia w magii skutkował tym, że cokolwiek przeistaczałam, szybko wracało do poprzedniego stanu, czasami po kilku minutach, czasami godzinach – w zależności od wysiłku, jaki w to włożyłam. Słyszałam, że jeśli wstąpi się na szkolenie od odpowiedniego Obrządku,

można się nauczyć magii wystarczająco dobrze, aby przeobrażone rzeczy pozostały takie na zawsze.

Ale gdzie te Obrządki były? Najwyraźniej nikt nie miał pojęcia. Wiedza o nich zaniknęła do tego stopnia, że niemal wszystkim brakowało pewności, czy rzeczywiście kiedykolwiek istniały.

Doszły mnie też słuchy, że nie da się ich już odnaleźć na tym świecie.

Chłopczyk o zapadniętych policzkach i pustym wzroku patrzył na mnie, kiedy przechodziłam ulicą. Nie odrywałam od niego spojrzenia, aż skręciłam za róg i straciłam go z oczu. Coś zacisnęło mi się w piersi. Gdybym mogła posługiwać się magią bez obawy przed rychłą i bolesną śmiercią, albo gdybym naprawdę została nauczona, jak ją udoskonalić, zmieniłabym dla niego kawałki pokruszonych kamieni zaścielających chodnik w pajdy chleba, a kałuże z pomyj w słodki sok jabłkowy. Z drugiej strony czasami był to dla mnie jedyny sposób zdobycia pożywienia, kiedy Iulia Filiţa wypiła w swoim przybytku za dużo brandy i zapominała nakarmić służące, które dla niej pracowały. Przemiana czegoś w jedzenie, przynajmniej dla niewyszkolonego Przemieniacza, wymagała więcej energii niż cokolwiek innego, bo musiałam użyć wystarczająco dużo magii, żeby kamienie nie wróciły do dawnej postaci, kiedy je zjadałam. Inne rzeczy, którymi lubiłam się bawić – jak na przykład zmiana koloru sukni jakiejś kobiety na krzykliwy żółty albo zielony – nigdy nie trwały długo. Nie miałam wiedzy albo energii pozwalających utrzymać zmianę przez dłuższy czas. Sztuczka z jedzeniem

była naprawdę trudna. Nie mogłabym przeistoczyć kamieni w chleb i pozwolić na to, by potem znowu stały się kawałkami skały w moim żołądku, dlatego odkryłam sposób wtłaczania wystarczającej ilości magii, by przemiana była nieodwracalna – co oczywiście bardzo mnie wyczerpywało. To była ostatnia deska ratunku. Ryzyko, że ktoś mnie przy tym zobaczy, czaiło się za każdym rogiem, a brak sił, które magia mi odbierała, wpływał na osłabienie moich pozostałych zmysłów, potrzebnych do zachowania czujności.

Miha i ja byłyśmy magami, ale to ona pierwsza odkryła mój sekret i w zamian za milczenie domagała się, żebym jej służyła.

Zastanawiałam się nad możliwościami, jakie miałam. Mogłabym sama zdradzić wszystkim moją tajemnicę, bo wtedy nie miałaby nic na mnie, ale Mędrzec – uczony mag znający wszystkie rodzaje magii istniejącej na świecie – którego czasem skrycie odwiedzałam, odradzał mi to. Dawne czasy, kiedy magowie żyli wśród innych ludzi w spokoju, a nawet dobrobycie, minęły bezpowrotnie. Po tym, co wydarzyło się w Marcoszy, i kiedy na terenie zamku pojawiły się zakrwawione trupy, a nad nim padał zabójczy deszcz, wracały wspomnienia o wszystkich złych rzeczach, jakich kiedykolwiek dopuścili się magowie, a zaufanie do nich powoli zanikało.

Mogłabym na dobre odejść z Roşesti. Jednak nie. Oczywiście, że nie mogłam. Tutaj przynajmniej liczebność mieszkańców zapewniała mi bezpieczeństwo. Na ziemiach, gdzie czaili się popielnicy zbrojni ogniem i ziejący nienawiścią,

śmierć wyciągnęłaby swoje kościste palce i znalazłaby mnie stanowczo zbyt szybko.

Leżałam nocami, nie śpiąc. Wsłuchiwałam się w odgłosy pijaków na ulicach i marzyłam o widoku życia wyciekającego z madame Iulii. Powód nie zawsze był ten sam. Raz było to po tym, jak uderzyła Mihę tak mocno, że przez pół dnia miała czerwony ślad na policzku. Innym razem, kiedy jakiś gość wyszedł z tawerny bez zapłacenia rachunku, wyrzuciła nas obie za drzwi na noc. Przyczyna miała niewielkie znaczenie. Jedno się nie zmieniało: to ja w myślach ją zabijałam. Miha była na to zbyt łagodna. Była za dobra pod każdym możliwym względem, czego jej zazdrościłam. Dlatego zadanie zabicia w snach madame Iulii zawsze spadało na mnie.

Zniszczony szyld „Reginy" powitał mnie wolnym, denerwującym skrzypieniem, kiedy otworzyłam drzwi do tawerny.

Wnętrze nigdy nie było dostatecznie oświetlone, żeby było cokolwiek wyraźnie widać – świece kosztowały, a ogień na kominku był nie do pomyślenia w upalne ostatnie dni lata. Pojedyncza lampa z jedną świeczką wisiała u powały, dając nikłe światło i rzucając pomarańczowe cienie na twarze gości, którzy zaczęli już przychodzić. Stoły miały wysłużone blaty ze śladami po kuflach stawianych i podnoszonych zbyt pośpiesznie, alkohol wywoływał niezdarność ruchów. W kącie leżały resztki stłuczonego talerza, a może miski. Kilka kinkietów zdobiło ściany, ale niezapalone zbierały jedynie kurz na resztkach białego wosku.

Madame Iulia pochylała się nad barem i gawędziła z Grigorem, częstym klientem, który był żonaty i paskudny,

ale wystarczająco bogaty, by zwróciła na niego uwagę. Posłała mi kose spojrzenie, kiedy przychodziłam w kierunku schodów, żeby przygotować się do wieczornej pracy. Miha, jeśli usłyszała wiadomość od króla, na pewno przyczaiła się gdzieś w pobliżu, wystraszona i szukająca rady. Bardzo chciałam poznać jej myśli i usłyszeć, co zamierzała zrobić. Czy ktokolwiek odda się w opiekę królowi z własnej woli, nawet przy obietnicy zapewnienia bezpieczeństwa?

– Założę się, że słyszałaś już wieści – powiedział Grigore i choć byłam odwrócona do niego plecami, wyczułam, że te słowa skierował do mnie. – Całe miasto tym żyje.

Odwróciłam się powoli z wyrazem obojętności na twarzy. Bardzo się starałam ignorować obecność Grigore – prawdę mówiąc, dotyczyło to wszystkich, którzy przekraczali drzwi „Reginy". Mój chłód nikogo więc nie zaskoczył.

– Z zamku. Tak. Powiesili ogłoszenie na bazarze.

– I co na to powiesz? – Ujął w rękę kufel piwa i oparł się jednym łokciem o bar.

Oczy madame Iulii połyskiwały, przez co dostałam gęsiej skórki na karku.

Strach mnie przenikał, ale ukryłam go za wymuszonym uśmiechem.

– Wydaje mi się, że potrzeba czegoś więcej niż pergaminu, żeby zapanować nad magami. To banda, której nie chciałabym wchodzić w drogę. To jasne. Jak się przypadkiem kopnie gniazdo os… – Stawiłam czoło spojrzeniu madame Iulii ze stoickim spokojem i wyrazem pewności siebie na twarzy. Moje słowa znaczyły dla niej więcej niż dla pozostałych, bo znała mój sekret. Czasami lubiłam dawać

jej powody do niepokoju, bo chociaż nadal bałam się dniem i nocą, że zdradzi moją tajemnicę ciekawskim uszom, często wyczuwałam jej przerażenie tym, co mogłabym zrobić za pomocą magii. Na swój sposób obie miałyśmy niewielką władzę nad sobą wzajemnie.

Na twarzy Grigore pojawił się szyderczy uśmieszek, a potem gość tawerny wzruszył ramionami z obojętnością kogoś pijanego.

– Normalnych ludzi i popielników jest więcej niż magów. Pozbycie się ich nie zajęłoby nam wiele czasu. W Roşesti lepiej by się wtedy żyło, zważcie moje słowa.

Zobaczyłam się, jak biegiem pokonuję dzielący nas dystans i dopadam jego szyi z siłą, na jaką tylko było mnie stać, i ściskam ją, ściskam, aż ostatni oddech opuści jego płuca. Palce aż mnie świerzbiły, ale zamiast tego posłałam mu uśmiech.

– Może masz rację. – Ponownie zerknęłam na madame Iulię. – A może nie.

Mizdrzący się uśmieszek, który miała na ustach, od kiedy weszłam do tawerny, zniknął niczym zdmuchnięty płomień świecy. Nie odrywając ode mnie wzroku, chaotycznymi ruchami po omacku szukała na kontuarze pustego kufla Grigore, a kiedy znalazła, pośpiesznie odeszła z nim do kuchni.

Usatysfakcjonowana weszłam po schodach do naszej kwatery, o ile zapyziały, mroczny pokój, pełen starych ubrań, zatęchłych i pełnych dziur, można nazwać kwaterą. To było niewielkie pomieszczenie na strychu, które dzieliłam z Mihą. Miało małe okna po obu stronach

i niski sufit opadający pod ostrym kątem. Stosy ubrań należały kiedyś do madame Iulii – znosiła tę odzież dokumentnie i zostawiła na strychu, żeby suknie sczezły ostatecznie, a my używałyśmy ich jako posłań, żeby nie spać na gołej podłodze.

Kurz wzbił się w powietrze, kiedy zamknęłam za sobą drzwi. Miha siedziała przy jednym z okien i patrzyła na ulicę.

Posłała mi nikły uśmiech, kiedy weszłam.

– Słyszałaś – powiedziałam, ale bardziej było to oświadczenie niż pytanie.

– O czym? – zapytała Miha.

Podeszłam do mojej sterty ubrań i usiadłam ciężko. Rozkasłałam się z powodu kurzu.

– Król wydał oświadczenie. – Z goryczą w głosie wyrecytowałam słowa, które widziałam na bazarze. Kiedy skończyłam, Miha miała oczy wielkie jak spodki. – „Król w swej łaskawości ulitował się nad tymi, którzy szukają schronienia, i oferuje azyl w razie potrzeby" – powtórzyłam te słowa przez zaciśnięte zęby, a gdzieś we mnie zawarczała rozzłoszczona bestia.

– To miło z jego strony – powiedziała Miha z niewyraźnym uśmiechem. – Azyl jest znacznie bezpieczniejszy od miasta. Zabawne. – Wskazała ręką okno. – Człowiek myśli, że w tych murach, wśród tych twarzy może się ukryć, ale słyszałam… – Odchrząknęła. – Słyszałam, że znaleźli kolejnego. Zabrali go z jego domu przy dokach. Wrzeszczącego wywlekli z miasta.

– Popielnicy? – zapytałam.

Skinęła głową.

– Gdyby król usiłował nas zabić, czy nie zabraliby go do azylu?

– To pułapka – powiedziałam ostro. – Wabik na magów? Śmierdzi spiskiem. Wolę zaryzykować życie poza azylem.

Miha zagryzła usta i na dłuższą chwilę zapadła cisza. Potem wskazała brodą maleńki kominek.

– Rozpaliłam ogień. Wiem, że dzisiaj nie jest zimno, ale w nocy marzną mi stopy.

To następna rzecz dotycząca Mihy: była Niszczycielką. Jej magia skupiała się na ogniu i niszczeniu. To było dziwne, gdy wzięło się pod uwagę jej łagodną osobowość. Miha przypominała mysz z widłami.

– Dobra robota. – Położyłam się na stosie ubrań i na chwilę zapatrzyłam w niski sufit. – Musimy się wynieść z miasta. Czekałyśmy wystarczająco długo. Może nawet za długo.

– Po co kusić śmierć w dzikich ostępach, czy nie lepiej wierzyć, że ludzie mogą być dobrzy, a król mówi prawdę w tym oświadczeniu? – zapytała cicho. – Poza miastem, gdzieś tam w świecie, jest gorzej.

Nie myliła się, ale to nie zmniejszyło mojej podejrzliwości.

– Wcześniej czy później madame Iulia ujawni nasz sekret, to tylko kwestia czasu – mówiła dalej. – Tak naprawdę mamy niewielki wybór. Opuścić miasto, jak mówisz, i mieć nadzieję, że wieśniacy są mniej wystraszeni, ale to ryzyko, którego nie chciałabym podejmować. Mogłybyśmy zostać w mieście i mieć nadzieję, że to wszystko dobrze się

skończy. Ale ta burza zbiera się od jakiegoś czasu. Jestem przekonana, że to się skończy fatalnie. Dla nas wszystkich.

Miałam wrażenie, że po jej słowach w pokoju powiał zimny wiatr. Skubiąc wystające nitki z rękawa sukienki, usiadłam.

– Nie wszyscy magowie pójdą, to pewne – powiedziała Miha rzeczowym tonem. – Ale wyboru musi dokonać każdy z nas.

– Królewskie słowa nie zostawiają wielkiego wyboru – odpowiedziałam. – Jeśli ktoś zdecyduje się nie iść, poniesie konsekwencje.

Miha wróciła spojrzeniem do okna, zgarbiła się.

– Urodzenie się kimś takim jak my to prawdziwy pech. – Westchnęła. – Ale myślę, że nadszedł czas, byśmy przesądziły o naszym losie. Wolałabym zachować choć trochę nadziei. Chcę wierzyć, że król jest dobry, niezależnie od tego, co ludzie o nim mówią.

A ludzie naprawdę mówili o królu. Nie był znienawidzony, ale nie cieszył się sympatią. Wydawał ogromne sumy na organizowanie wspaniałych uczt dla członków rodziny królewskiej i bogatych hulaków, gromadził jedzenie niczym sknera przewidujący głód, nawet wtedy, gdy panowała susza i brakowało ziarna dla jego poddanych.

No i pozostawał fakt, że Miha służyła kiedyś w królewskiej kuchni, dopóki nie przyłapano jej na podtrzymywaniu ognia magią w zimną noc. Natychmiast została wyrzucona na ulicę niczym zwykła pomywaczka. To było jeszcze w czasach, kiedy strach przed magami nie był tak nasilony, gdyby coś takiego stało się teraz, najpewniej zostałaby zabita.

– Chyba powinnam chcieć tam iść – zastanawiała się, ale za dobrze ją znałam, by nie wiedzieć, że już podjęła decyzję. – Wielu z nich pewnie mnie pamięta. Jestem przekonana, że ulitują się nade mną.

Popatrzyłam na nią śmiertelnie poważnie.

– Myślisz, że ci sami ludzie z zamku, którzy wyrzucili cię na bruk za magię, ulitują się nad tobą i powitają cię z powrotem z otwartymi ramionami? Miha, szczerze.

– Cóż, gdybym była tak cyniczna jak ty, może mieszkałabym na łodzi pośrodku morza, gdzie nikt nie mógłby mnie znaleźć, ale nie miałam okazji nauczyć się żeglowania – mówiła szybko, zbyt ostro jak na kogoś tak łagodnego. – Przepraszam cię, Liljano – dodała pośpiesznie, ale ja już stałam i kręciłam głową.

– Może tak właśnie bym postąpiła, gdybym żyła wystarczająco długo. – Wyszłam z pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi.

Noc zapadała nad miastem pod niebem o odcieniach pomarańczowym i fioletowym. Nad większością dzielnic unosiły się zapachy dobrego jedzenia i drogich perfum, z okien rozlegały się śmiech i odgłosy rozmów. Bochenek chleba stygł na jednym z parapetów, kucharz drzemał na krześle w rogu. Sięgnęłam bezgłośnie ręką, złapałam bochenek, wepchnęłam go sobie pod pachę i oderwałam kawałek skórki, by zjeść.

Wolnym krokiem zmierzałam ku zamkowi, nasłuchiwałam i bacznie wszystko obserwowałam. Nikt wokół mnie nie wspominał o królewskim dekrecie albo

o magach, którzy zaczęliby napływać z prowincji zwabieni nadzieją na bezpieczne życie. Mieszkańcy miasta mogli ich nie zauważyć, ale ja wyczuwałam ich obecność. Jeśli znalazłam się wystarczająco blisko, nos wypełniał mi odór spalenizny unoszący się w powietrzu między nami, gdy nasze zdolności magiczne nawzajem się rozpoznawały. Niewidzialne, ale instynktowne. Czasami myślałam o odszukaniu Obrządku Przemieniaczy, gdziekolwiek – do licha – istniał, żeby doskonalić żywiołową magię w moich żyłach i zmienić ją w coś wartościowego, coś potężnego i strasznego. Ale przy strachu dławiącym Roşesti, sąsiadujące z nami kraje i wszystkich naznaczonych magią nie ośmielałam się porzucić życia, jakie wiodłam tu w mieście, by zakosztować być może lepszego życia w innym miejscu.

Kusiło mnie teraz, by wspiąć się na miejskie mury i popatrzeć na to, co było za nimi. Chciałam wyobrazić sobie wszelkie możliwości oddalone o rzut kamieniem. Może ukradłabym łódź i nauczyła się żeglować, jak powiedziała Miha.

Przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz.

Chmury przesłoniły gwiazdy na odległym horyzoncie, widoczne coraz wyraźniej, w miarę jak wspinałam się coraz wyżej ulicami miasta w kierunku zamkowych murów. Błyskawica przecięła niebo. Zatrzymałam się i skubiąc chleb, patrzyłam na nie, rozkoszując się chłodnym powietrzem zwiastującym rychłą burzę.

Spokój. Cisza. Piękna noc z rodzaju takich, jakie zdarzały się tu zbyt rzadko.

Krzyk dochodzący z oddali wdarł się gwałtownie w mój tok myśli. Stłumiony, niemal niesłyszalny i być może pochwycony przez moje uszy tylko dzięki magii. Wniknął głęboko we mnie.

To była Miha. Wszędzie rozpoznałabym ten głos.

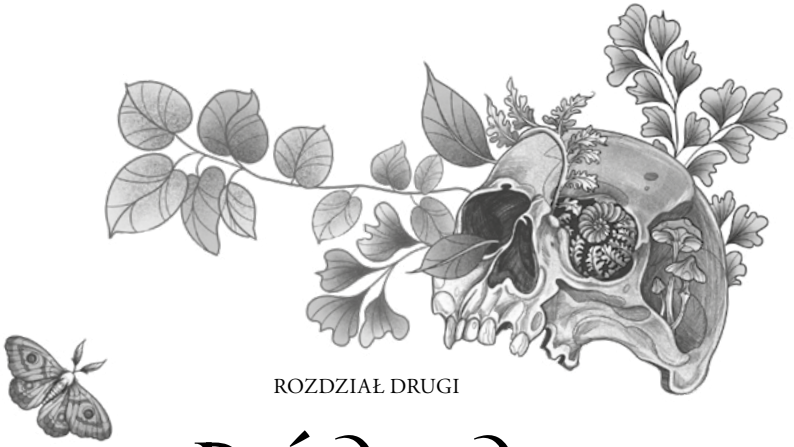
Bochenek upadł na chodnik i potoczył się dalej. Wpatrywałam się w zamek, serce waliło mi niczym pięść pijaka dobijającego się do zamkniętych drzwi tawerny. Majestatyczne kamienne mury stały ciche i wysokie, nie przepuszczały żadnego dźwięku.

Czyżbym to sobie wyobraziła?

Noc była ciepła, a ja czułam się zmęczona. Moje podejrzenia dotyczące królewskiego dekretu narastały przez cały dzień i było całkiem możliwe, że niepokój nabrał w moim umyśle bardzo konkretnych kształtów. Ale wtedy usłyszałam go ponownie, zniekształcony w sposób, który niemal naśladował głos ptaka. Miha krzyczała. Niezaprzeczalnie. Musiała wyjść z tawerny zaraz po naszej sprzeczce i zgłosiła się do zamku. Podążyła za innymi magami i weszła w nieubłagane mury, szukając za nimi bezpieczeństwa. Ale tam go nie znalazła.

Kropla deszczu spadła mi na rzęsy.

Nieokiełznana magia buzowała w moich żyłach, szukała możliwości ucieczki. Założyłam na głowę kaptur peleryny, odetchnęłam głęboko kilka razy, żeby się uspokoić, i pośpieszyłam cichym krokiem w stronę zamku.



ROZDZIAŁ DRUGI

BÉATA

Śmierć nadchodziła wraz z nastaniem nocy. Słońce pełzło w dół, kpiło z mieszkańców miasta, którzy rzucali dookoła zaniepokojone spojrzenia, kiedy ich cienie wydłużały się coraz bardziej. Odgłosy zamykanych okiennic odbijały się echem na ulicach, szczękały zamki w drzwiach, stawiano w oknach zapalone świece. Białe świece, przy których się modlono w nadziei, że bogowie oszczędzą domowników. W miarę jak światło na zewnątrz przygasało i z koloru ciepłego złota zmieniało się w granatowe, strach wypełniał wieczorne powietrze, sprawiając, że wydawało się gęste. Obejmował w posiadanie każdy dostępny centymetr przestrzeni, aż było go tyle, że nie wiedzieliśmy, gdzie go upychać. Strach przeciskał się przez szczeliny wokół drzwi, spływał nam po plecach niczym krople potu, zaglądał nam w oczy z odbicia w szklance wody.

Za każdym razem gdy zamknięci w domach opuszczaliśmy powieki, zastanawialiśmy się, czy to może być ostatnia noc. Jeśli nazajutrz nasze ciała zostaną odnalezione gnijące w śmiercionośnym deszczu, który padał nad Zamkiem Vyesta, to dlatego, że przyzwało je zaklęcie mające na celu pozbycie się nas z tego świata. Ulice, które były bezpieczne i zwykłe w czasie dnia, stawały się alejami śmierci, kanałami prowadzącymi do wspaniałego zamku na wzgórzu za zasłoną ciemności. Sen już dawno temu stał się nieosiągalny, kiedy wsłuchiwałam się w odgłosy kroków na ulicach, kiedy sąsiedzi szli ku nicości, niby przytomni, ale niczego nieświadomi. Mogłabym wyjść i spróbować ich obudzić, mogłabym krzyczeć im w twarze, ochlapywać ich wodą, ale Zamek Vyesta nie przestawał ich przyzywać i każdy, kto opuścił w nocy bezpieczne domowe zacisze, szybko przekonywał się, że był zdany na łaskę deszczu.

Krople stukały cicho w okno, kiedy tato gasił świece jedną po drugiej w moim pokoju, powoli i z namysłem. Nasłuchiwałam, czy mój brat wrócił już z podróży do Devolos, dokąd pojechał po nowe beczki. Nawet mimo burzy powinien już być z powrotem.

– Wróci – powiedział ojciec. Musiał wyczuwać moje myśli. Nic nie odpowiedziałam. – Nie zasnę, dopóki nie będzie w domu. – Westchnienie. – Mama też oka nie zmruży.

Słowa wydawały się koniecznością w ciążącej nam ciszy, ale sama miałam do zaoferowania niewiele z tego, co przyniosłoby pociechę. Filep się spóźniał, a w tych mrocznych czasach wiedzieliśmy, co to mogło oznaczać.

Ojciec odchrząknął i skierował się do drzwi.

– No tak. Śpij dobrze. Nie martw się o Filepa. On wie, co się stanie, jeśli ciemność zaskoczy go na zewnątrz. Znajdzie sobie jakieś inne schronienie. – Posłał mi krótki uśmiech, zanim zamknął za sobą drzwi. Zmusił się do udawania spokoju, ale jego oczy zdradzały ogromne zatroskanie.

Strach mnie przytłaczał, wgniatał głębiej w łóżko moje ciało. Wpatrywałam się w sufit. Miałam wrażenie, jakby krzemyk tkwił gdzieś w moim sercu. Wyprysnęła z niego iskierka, która coś podpaliła. Złość zdawała się parzyć mnie od środka. Więźniowie. Właśnie nimi byliśmy. Więźniami oddalonego o kilometr zamku, wabiącego nas na pewną zgubę. Coś – a może ktoś – złego znalazło drogę do Marcoszy i do Zamku Vyesta, po czym na dobre się tam rozgościło. Zadomowiło się tak, jakby ta ziemia nigdy nie była nasza. Jakby istnienia, które kiedyś zamieszkiwały zamek, nic nie znaczyły.

Nie potrafiłam zrozumieć takiego zła. Nie pojmowałam niekończących się egzekucji dokonywanych za sprawą zatrutego deszczu. Dokąd to prowadziło? Nauczyliśmy się, jak przetrwać, i wraz z zapadnięciem nocy zostawaliśmy w domach. Przekręcaliśmy klucze w zamkach, domykaliśmy okiennice, żeby się ukrywać aż do rana. W ten sposób udało się nam zapobiegać śmierci od deszczu – przeżyło wielu mieszkańców miasta, nie straciliśmy nikogo przez niemal rok. Ciała jednak nadal znajdowały ścieżki do śmierci: tak skończył wędrowiec, który uległ ciekawości, przechodzień, który nie rozumiał, że powinien trzymać się z daleka. Niemniej nasi mieszczanie przebywali w bezpiecznych miejscach.

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl